



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jerzy Duda

## Syn „Cygana”

Do końca sierpnia 1939 roku nie słyszałem w domu słowa „wojna”. Dopiero wtedy, jednego popołudnia, ojciec zebrał nas wszystkich w pokoju oświadczając, że pojutrze nas opuszcza, bo idzie na front. Nie zdawaliśmy sobie wówczas z tego sprawy – ja miałem 7 lat, brat Witold – 5. Trzeci brat, o czym też nie mogliśmy wiedzieć, miał niedługo ujrzeć świat (Krzysztof urodził się w niedzielę 17 września 1939). Pytaliśmy więc wieczorem mamusię: co to jest ta wojna. Uzyskaliśmy odpowiedź, że to straszna i wielka bitwa.

W ustalonym terminie tatuś – już w mundurze oficerskim (był porucznikiem) – serdecznie nas pożegnał, ucałował, udzielił ostatnich rad i wskazówek, po czym – odprowadzony przez nas wszystkich na pobliską stację kolejową (Białaczów) – odjechał pociągiem do Warszawy. Do kochanej stolicy, oddalonej od nas o 125 kilometrów, w której niegdyś mieszkaliśmy i w której ja się urodziłem w 1932 roku. A do obecnej miejscowości Petrykozy k/Opoczna sprowadzaliśmy się w roku 1937. Rodzice kupili tu niewielką posiadłość ziemską wraz z młynem i przyległym do niego dużym stawem zasilanym wodami rzeki Drzewiczki. Majątek ten został zakupiony od hr. Platera, którego główna siedziba wraz z pałacem znajdowała się w oddalonym o 4 kilometry Białczkowie. Niegdyś te wielkie dobra należały do marszałka Sejmu Czteroletniego hrabiego Stanisława Małachowskiego, który wśród wielu zakładów i zabytków pozostawił tu zbudowany w roku 1792 piękny klasycystyczny kościół parafialny.

Rodzice dużym nakładem środków finansowych i pracy wybudowali budynek mieszkalny wraz z zabudowaniami gospodarczymi, a także zmodernizowali młyn. Powoli zapełniały się inwentarzem stajnia, obora i chlewy. W połowie 1939 roku przenieśliśmy się do nowego domu. Zaraz też ruszył po przebudowie młyn. Wszyscy się cieszyli, również mieszkańcy wsi łącznie z proboszczem, gdyż ojciec zelektryfikował wieś i kościół, do których prąd popłynął ze młyna.

Ale ta radość niestety nie trwała długo, a my mogliśmy się przekonać na własne oczy co to jest wojna! A przyszła ona do nas rano w niedzielę 3-go września 1939 roku. Właśnie wychodziliśmy do kościoła. Byliśmy na schodach, kiedy od zachodu dał się słyszeć narastający warkot samolotów i zaraz wyłoniły się trzy maszyny lecące bardzo nisko z wymalowanymi na kadłubach czarnymi krzyżami. W chwilę po tym byliśmy prawie głusi od wybuchów bomb i wystrzałów armatnich. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy co było celem ataku niemieckich samolotów: czy nasze widoczne zabudowania i młyn czy też stojący na stacji kolejowej pociąg towarowy wiozący polskie wojsko i sprzęt wojenny. Samoloty co pewien czas zawracały i znowu brały na cel pociąg. Polscy artylerzyści rozpoczęli obronę ostrzeliwując je z armatek przeciwlotniczych. Wszystko to trwało około 20 minut wśród ogromnego huku i dymu. Później okazało się, że jeden z samolotów został postrzelony i spadł pod Opoczmem.

Kiedy się już uspokoiło na dobre wyrwaliśmy się mamie i jak to ciekawscy chłopcy pobiegliśmy na stację zobaczyć skutki tego nalotu. Nie był to widok przyjemny – po raz pierwszy zobaczyliśmy rannych i bardzo cierpiących ludzi oraz wiele krwi. Nie byliśmy tam długo, bo zaraz odnalazł nas dziadek i popędził do domu. Pociąg wojskowy po zebraniu i obandażowaniu rannych odjechał w kierunku Skarżyska. Dziadek, który wrócił z obchodu stwierdził, że duża liczba dachówek na naszych budynkach została uszkodzona przez ostrzał z broni pokładowej samolotów.

Kiedy trochę ochłonęliśmy ze strachu i zdążyliśmy cokolwiek zjeść, zaczął się drugi nalot. Około godziny 15-tej na stację wjechał pociąg z cysternami i nie wiadomo skąd znów nadleciały trzy niemieckie myśliwce. Ale widocznie nie miały już bomb, bo zaczęły strzelać do cystern z karabinów maszynowych. Mimo niebezpieczeństwa kolejarze rozczepiali wagony, aby uchronić część od zapalenia. Jednak ponad połowa składu została zniszczona, a wyciekająca ropa i benzyna paliła się dopływając do stawu. Było to widowisko zatrważające, a z drugiej strony zdumiewające, gdyż wydawało się, iż to woda w stawie się pali. Podobne naloty na pociągi wojskowe miały jeszcze miejsce dwa razy, ale na szczęście większych szkód nie wyrządziły. Wszyscy byliśmy cali i zdrowi, a budynki nasze tylko w niewielkim stopniu naruszone.

Wkrótce nasza rodzina się powiększyła – 17-go września 1939 roku mama urodziła trzeciego syna, drugiego mojego brata – Krzysztofa.

Pod koniec września na naszym terenie oficjalnie zapanowali Niemcy. Na stacji kolejowej (150 metrów od naszego budynku) polskiego zawiadowcę zastąpił niemiecki, ale reszta obsługi, tj. dyżurni i zwrotniczy pozostała ta sama. Z naszego mieszkania zostały zabrane meble i radio na wyposażenie mieszkania nowego zawiadowcy. Młyn i gospodarstwo także przejęli Niemcy. Cały parter budynku mieszkalnego zajęło niemieckie wojsko – „Wehrmacht”, które odtąd miało ochraniać stację i linię kolejową, a także młyn. Nam i dziadkom wydzielono trzy pomieszczenia na piętrze, pozostałe natomiast zajęła administracja gospodarstwa. Mamie pozostawiono kawałek ziemi na ogródek.

I tak oto po krótko trwającym dostatku niespodziewanie nastąpiły dla nas trudne i ciężkie czasy. Przypuszczam, że mama miała jakieś zapasy w gotówce, a może i biżuterii no bo przecież jakoś się żyło. Nie było biedy. Pomagała nam rodzina mamy mieszkająca w sąsiedniej wsi Skronina, odległej o 2 kilometry. Przynosiliśmy od nich ziemniaki, owoce, czasami tłuszcz i mięso. Najgorzej jednak było z mlekiem, po które trzeba było tam chodzić prawie codziennie. Czasami chodziła mamusia, ale rzadziej, bo była zajęta najmłodszym bratem. Chodziliśmy więc razem ze średnim bratem i dużym czarnym psem Rebusem. Był to wspaniały pies, bardzo często noszący lżejsze torby w pysku. I niechby ktoś spróbował mu je wyrwać! Nie radziłbym nikomu. A chodziliśmy razem dlatego, bo na trasie piaszczystej drogi był mostek łączący rów odwadniający. Pod tym mostkiem podobno coś straszyle, a my wtedy jeszcze w strachy wierzyliśmy. Przed mostkiem braliśmy się za ręce i z zamkniętymi oczami przechodziliśmy słuchając, czy coś nas nie goni. Odwagi dodawał nam Rebus, który nic nie wyczuwając szczekał radośnie.

Nasza mama coraz częściej wspominała o tatusiu, który nie dawał żadnej wiadomości mimo, że wojna była dla Polski skończona. Wkrótce okazało się, że o naszego tatę martwimy się nie tylko my. Na początku listopada przyjechało do nas opoczyńskie gestapo z wielkim wilczurem dopytując się o ojca. Tłumacz ostrzegał, że jeśli coś zataimy to eksmitują nas z mieszkania i wywiozą do Niemiec na roboty. My zawsze mówiliśmy, że tatuś poszedł na wojnę i do tej pory nie wrócił. Podobne „wizyty” i to przeważnie w porze nocnej powtarzały się coraz częściej. Zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić.

Ale nie wspominałem nic o nauce i szkole. Otóż Niemcy na razie szkoły nie zamknęli. Mieściła się ona w drewnianym budynku krytym słomą. Ja poszedłem od razu do klasy drugiej, młodszy brat Witold do pierwszej. W jednej izbie uczyły się jednocześnie dwie klasy. Było dwóch nauczycieli: pan kierownik i pani nauczycielka. Jeżeli się coś przeskrobało to pan kierownik operował gumą, a pani nauczycielka linijką. Do wyjątków nie należeliśmy – też dostawało się w łapę, mimo że byliśmy synami znanych i szanowanych osobistości. I tak powoli, powoli przyzwyczajaliśmy się do życia w okupacyjnych warunkach.

Nasza sytuacja bytowa poprawiła się wraz ze zmianą administratora gospodarstwa. Tym nowym był z pochodzenia Polak z poznańskiego, niejaki pan Walczak, świetnie władający językiem niemieckim. Dość szybko zorientował się kim byliśmy, jesteśmy i w naszym obecnym położeniu. Mamie powiedział kiedyś, żeby się o nic nie martwiła, i że dopóki on tu będzie głodu na pewno nie zaznamy. A my najbardziej cieszyliśmy się z tego, że nie musieliśmy już chodzić po mleko do Skroniny. Teraz w naszym codziennym jadłospisie częściej pokazywała się na stole zupa mleczna. Bo muszę przypomnieć, że w tutejszym regionie kieleckim najczęściej podawaną strawą, przede wszystkim w czasie okupacji, była słynna zalewajka albo suche, inaczej barszcz biały z ziemniakami. Zalewajka to biały barszcz gotowany łącznie z ziemniakami pokrojonymi w kostkę, polany tłuszczem ze skwarkami. Natomiast suche to był prawie ten sam barszcz z tym, że ziemniaki były gotowane oddzielnie, ubite, ładnie ułożone na połowie talerza, poklepane – do tego nalewano barszczu i podobnie kwaszono. Naprawdę była to bardzo dobra strawa, którą się jadło w wielu domach prawie trzy razy dziennie. A żeby dokończyć temat jadłospisowy

trzeba też nadmienić, że popularnym jedzeniem w kieleckim były tzw. prażaki – w gwarze ludowej „prazoki”. Mnie one nie smakowały, więc nie będę podawał sposobu ich przyrządzenia, a tylko to, że podstawowym ich składnikiem są gotowane ziemniaki, mąka żytnia razowa itp.

My z bratem z dnia na dzień po powrocie ze szkoły coraz bardziej zaprzyjaźnialiśmy się z niemieckimi żołnierzami mieszkającymi na dole. Byli to przeważnie starsi mężczyźni, którzy pozostawili rodziny i też się o nie martwili. Dlatego tak szybko zawiązała się przyjaźń między nami. Pamiętam spali na piętrowych, metalowych łóżkach. Rano zawsze się myli na werandzie w zimnej wodzie, następnie mieli gimnastykę. Zauważyliśmy, że niektórzy z nich się żegnali i mówili pacierze. Trudności językowych nie było, ponieważ dwaj pochodzący ze Śląska nieźle mówili po polsku, jak też starszy Austriak imieniem Alojz. Pozwolili nam przychodzić do siebie, częstowali różnymi smakołykami i konserwami. Najbardziej z tego wszystkiego smakowała nam prasowana w formie wałka kawa zbożowa z cukrem. W tym czasie z cukrem były trudności i do słodzenia używana była sacharyna w pastylkach.

Z czasem Austriak Alojz, kiedy nie miał tzw. wachty przychodził do nas wieczorem na górę. Mama prowadziła z nim długie rozmowy, a my słuchaliśmy nie bardzo rozumiejąc politykę. Potem okazało się, że na wojnę został wzięty pod przymusem i był wrogiem Hitlera. Tu im było nieźle, z dala od frontu, ale zawsze myślał o dezercji, gdyby mieli go przerzucić na wschód – tego się wszyscy bardzo bali.

I tak na razie spokojnie mijały dni, aż tu pewnego wieczoru chyba na przełomie listopada i grudnia ktoś zapukał do drzwi. Myśleliśmy, że to pan Alojz, a tu w drzwiach ukazał się nam tatuś! Ileż to było radości! Ale niestety tatuś w Petrykozach nie mógł być długo. Kiedy mama opowiedziała, że bardzo się nim interesuje gestapo z Opoczna i Tomaszowa Mazowieckiego zdecydowali oboje, że zamieszka gdzie indziej a nas odwiedzać będzie w ustalonych terminach. Ale przed wyjazdem postanowił zaryzykować i spotkać się z owym panem Alojzem, o którym mamusia mu opowiadała. Nie czekaliśmy, aż sam przyjdzie. Zostałem wysłany po niego przez mamę, nie pamiętam pod jakim pozorem. Rodzice już bez nas długo rozmawiali i po jakiejś godzinie pan Alojz zszedł do siebie. Tatuś następnego dnia wieczorem pociągiem przez Koluszki odjechał do Warszawy. Tam miał wielu znajomych, z którymi do śmierci marszałka J. Piłsudskiego pracował w jego kancelarii, a następnie do czasu opuszczenia Warszawy w Ministerstwie Obrony Narodowej. W Warszawie załatwił sobie jakąś pracę i chwilowo czuł się bezpieczny. Odwiedzał nas co pewien czas. Pamiętam jak w czasie jednych odwiedzin znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Był to już chyba rok 1942. Jesienią podczas pobytu taty w domu zapukało do drzwi gestapo. Nie było czasu na zastanawianie się i zanim mama otworzyła drzwi, tatuś w drugim pokoju wyjściem na balkon zeskoczył na dół uciekając przez tory kolejowe w kierunku lasu. Mama była wyjątkowo opanowana, a my udawaliśmy, że śpimy. Zawsze w trakcie pobytu ojca w domu zapraszany był na górę pan Alojz. A odbywało się to wedle umówionego znaku. Otóż na dole u Niemców na biurku leżała baterijka z wbudowanym dynamkiem napędzanym ręcznie. Bardzo się nam ona podobała. I kiedy tylko ja brałem ją do ręki pytając pana Alojza czy mogę się pobawić, ten wiedział co to oznacza: ma iść na górę bo przyszedł ojciec. Umówiony był też sposób pukania do drzwi, które otwierała tylko mama. Wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia o co chodziło w tych spotkaniach. W każdym bądź razie tatuś otrzymywał cenne informacje, a my dzisiaj pana Alojza możemy w pewnym stopniu przyrównać do kapitana Klossa. Żałujemy, że nie znamy nazwiska tego serdecznego i oddanego nam Austriaka. Staraliśmy się już po wojnie odnaleźć go i podziękować, bo to najprawdopodobniej on w roku 1944 ocalił mnie i braciom życie. A ojciec dlatego starał się coraz częściej spotkać się z panem Alojzem, ponieważ już był bardzo zaangażowany w działalność konspiracyjną. I jeśli tatuś nie mógł czasami do nas przyjechać, a pan Alojz przyniósł ważne i pilne wiadomości, wówczas mama wysyłała z tym mnie do Warszawy. Miejscem spotkania była kawiarnia czy też kasyno „Maxim”, mieszczące się w dolnej części budynku ówczesnego warszawskiego drapacza chmur na pi. Napoleona. O ile pamiętam było ono dostępne wyłącznie dla Niemców. Ale tam brat ojca – mój stryj Julian i jego kolega trzymali szatnię i sprzedaj papierosów. Gdy nie było w pobliżu ojca, stryj kierował mnie do żony kapitana Kwiatkowskiego mieszkającej na ul. Mochnackiego niedaleko pi. Narutowicza. Kapitan Kwiatkowski – serdeczny przyjaciel ojca z przedwojennej pracy i wspólnych polowań dostał się do niewoli rosyjskiej i został zamordowany w Katyniu. Kiedy mi o tym ojciec opowiadał, wspominał też o swoich wojennych losach, o ciężkich walkach i wielu ludzkich nieszczęściach. Kiedy już rozbici przedzierali się grupkami w kierunku domu, byli już tak wygłodniali, że kiedy spotkali na polu sterczące głąby po wyciętej kapuście dwa dni nimi się żywili. Wreszcie dostali się do niewoli, nie jestem pewien czyjej, ale chyba rosyjskiej. Ojcu udało się z niej uciec po przekupieniu strażnika, któremu oddał sporo pieniędzy i rower. Ten właśnie rower wskazuje na to, że była to rosyjska niewola, gdyż niemieckiego strażnika raczej by on nie zainteresował.

A skoro już wspominałem o przyjaciółach ojca z przedwojennej Warszawy, to wśród wielu muszę wymienić choć jeszcze jednego, żeby uchronić go od zapomnienia. Pan Leon Schlassa, człowiek głęboko religijny i wielki patriota, nawiasem mówiąc mój ojciec chrzestny. Trzymał mnie do chrztu w kościele św. Michała Archanioła czy też św. Floriana na Pradze niedaleko chyba Ronda Waszyngtona. Co pewien czas przyjeżdżał do nas do Petrykóz przywożąc wiadomości od taty. A po śniadaniu lub po kolacji

szedł w olszynowy lasek za stawem i tam w ciszy się modlił. Ale nie tylko. Jak się okazało miał tam ukrytą krótkofalówkę i to prawie pod bokiem wroga. Ale przebywający u nas Niemcy z Wehrmachtu tymi sprawami nie interesowali się. Oni i pan Alojz wiedzieli, że to jest mój wujek, który przyjeżdża tu po zaopatrzenie: po rąbankę, schab i jajka. Jak to niegdyś śpiewały uliczne orkiestry: „Bo życie to nie jest bajka...”.

W grudniu 1942 roku tatuś przyjechał do nas na wigilijny opłatek, odbywający się ze względów bezpieczeństwa w Skroninie. Zobaczyliśmy w oczach ojca łzy, gdy oznajmił, że wujek Leon został przyłapany przez gestapo w domu w Warszawie, gdzie znaleźli też broń, krótkofalówkę i mundur oficerski. Został na miejscu potwornie skatowany, a następnie rozstrzelany. I słusznie mu potem zadedykowano: „A jeśli komu droga otwarta do nieba – tym co służyli Ojczyźnie”. Cześć Jego pamięci!

Przyszedł rok 1943. Chodziłem wtedy do klasy piątej. Ten rok me był już dla nas i okolicznych wiosek tak spokojny jak poprzednie. Najpierw zaczęły się łapanki na przymusowe roboty do Niemiec. W ten sposób zagarnięto wiele osób, przeważnie w wieku młodszym. Nie ominął ten los i naszej rodziny. Dwie moje cioteczne siostry zostały wywiezione w okolice Drezna do pomocy w gospodarstwach. Ale całe i zdrowe wróciły do domu po wyzwoleniu. Coraz częściej zaczęła dawać o sobie znać partyzantka, a jej udane akcje sabotażowe napawały ludność okolicznych wsi otuchą i dodawały wiary w przetrwanie. Na naszym terenie akcje te polegały na niszczeniu torów kolejowych, mostków, urządzeń stacyjnych itp. Bardzo często były rozbijane całe pociągi towarowe wiozące na front wschodni wszelkie zaopatrzenie i sprzęt wojskowy. Przy tej okazji partyzanci zdobywali dla siebie żywność, ubranie i broń z amunicją. W okolicy było też kilka majątków ziemskich administrowanych przez Niemców. Stamtąd uprowadzono, konie, krowy i świny dla potrzeb własnych i głodującej ludności. A gdy po żniwach nadchodziła pora omłotów niszczone były przewoźne lokomobile parowe napędzające młockarnie.

Do naszego młyna partyzanci przychodzili wielokrotnie. Przeważnie zabierali mąkę do wypieku chleba, otręby i ziarno dla koni. Raz zarekwirowali wszystkie pasy napędowe, unieruchamiając w ten sposób młyn na kilka dni. A swoje akcje przeprowadzali tak sprytnie, że nikt podczas nich nie ucierpiał. Dwukrotnie też zostali zaskoczeni i rozbrojeni „nasi” niemieccy żołnierze. Dokonał tego oddział AK słynnego „Wichra” (W. Kucharskiego). Pomógł mu trochę „Herr Alojz” i nie chwałąc się – ja. Zabrano wtedy Niemcom całą broń, amunicję, umundurowanie i trochę żywności. Podczas drugiej takiej akcji niepotrzebnie zginął jeden Niemiec, który nie usłuchał komendy: „Hande hoch”. Leżąc na górnej pryczy próbował sięgnąć po pistolet maszynowy, ale nie zdążył. Jeden z partyzantów spostrzegł to i puścił serię, po której ów nieszczęśnik spadł z łózka. W naszej obecnej sypialni w suficie pozostały na pamiątkę ślady, a w futrynie okiennej tkwi kula karabinowa. Pan Kucharski już po wojnie odwiedzał nas często, zostawiając na pamiątkę medal jego oddziału i wpis do albumu.

Skoro jestem przy temacie stacjonujących u nas Niemców przypomniał mi się taki śmieszny epizod. Otóż młodszy z nich znaleźli sobie kilka pańienek we wsi, do których w sobotę lub w niedzielę chodzili „w kawalerkę”. Panny te zaczęły później odwiedzać Niemców, a to nie podobało się miejscowej ludności. Wobec tego partyzanci ostrzegli je, aby zaprzestały flirtów z okupantem. Ponieważ drugie ostrzeżenie nie pomogło, po trzecim ogolono im głowy. Później wychodziły na drogę owinięte w chustki. To była wystarczająca przestroga dla pozostałych.

Jak wszędzie, tak i u nas znajdowali się ludzie, którym śnił się lekki chleb. Za odpowiednie wynagrodzenie współpracowali z władzami niemieckimi. Z ich to donosów zostało wyłapanych, wywiezionych do obozów lub rozstrzelanych sporo ludzi, a niekiedy palono całe domostwa. Ale kiedy taki zdrajca wpadł w ręce partyzantów i została mu udowodniona wina, kończyło się to wyrokiem podziemia i rozstrzelaniem. W naszej wsi było dwóch takich i spotkał ich podobny koniec. Oczywiście Niemcy za dywersje wymierzone przeciwko nim stosowali sankcje odwetowe, czasami bardzo okropne. U nas przeprowadzono je trzykrotnie. A przebieg tego był taki: bardzo rano wieś otoczono i wyciągnięto z domów mieszkańców. Następnie popędzono ich do stodoły księdza proboszcza obok kościoła i tam w oparciu o jakieś listy oddzielano wybrane osoby. Przebiegało to wśród ogólnego strachu i płaczu. Matki lub dzieci broniące swoich były bite i odpychane. Potem wybrane osoby ładowano na samochody zwane budami i wywożono. Część z nich była rozstrzeliwana w Tomaszowie Mazowieckim, a reszta wywożona do obozów zagłady. Tylko kilku z nich przeżyło i po wyzwoleniu wróciło do rodzin. Do tych szczęśliwców należał mój późniejszy teść, który przetrzymał trzy obozy koncentracyjne.

Z końcem czerwca 1943 roku zakończył się rok szkolny. Ukończyłem 5-tą klasę i teraz mama zastanawiała się co dalej, ponieważ w tutejszej szkole nie było klasy szóstej. My natomiast cieszyliśmy się z wakacji. Nie było wówczas żadnych gier i zabawek. Lubilem majsterkować, więc zbierałem korę z dużych topoli i robiłem z niej modele okrętów wojennych, które potem puszczałyśmy na stawie. Mieliśmy z bratem i kolegami wspaniałą zabawę, ale gorzej było dla naszych okrętów, kiedy na stawie była większa fala. Następnie zbudowałem też z kory model małego młyna. Napędzany był przez koło łopatkowe uzyskujące ruch obrotowy spadającą ze zbiornika wodą lub suchym piaskiem. Reszta

„maszyn” napędzana była poprzez malutkie kółka, a rolę pasów zastępowały grubsze nitki. To była najlepsza zabawa. Często nasz „młyn” oglądali mieszkający u nas Niemcy i przechodzący ludzie.

Coraz częściej dawali o sobie znać partyzanci. Rozbijane były pociągi towarowe i niszczone tory. Pamiętam, że raz w rozbitych wagonach znajdował się cukier. Ponieważ my mieliśmy najbliżej udało nam się przywieźć taczką dwa worki, z czego mama była bardzo uradowana. Także sporo tego cukru rozebrali mieszkańcy wsi, chwając za to naszych partyzantów.

Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że sołtys kumający się z Niemcami po ostrzeżeniach dostał okropne lanie. Głośna też była i sprawiła dużo radości wieść o rozbiciu więzienia w Końskich. Zginęło wówczas kilku gestapowców. Uwolniono około 70 aresztowanych Polaków, wśród których były osoby współpracujące z Armią Krajową.

Do nas nadal w nocy przychodziło gestapo dopytując się o tatusia, który ostatnio odwiedzał nas rzadziej. Ludzie wymieniali między sobą nazwiska lub pseudonimy dowódców oddziałów AK, najczęściej takich jak: „Henryk”, „Wicher”, „Cygan”, „Maj” i innych. My z bratem wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że dowódcą o pseudonimie „Cygan-Bogdan” jest nasz ojciec – Bronisław Duda.

Niestety nie brakowało też akcji odwetowych ze strony okupanta. Nie sposób je tu wszystkie opisać. Wymienię kilka z nich. We wsi Łuby k/Białaczkowa spalono w stodole kilkunastu ludzi, w tym siedmiu partyzantów z oddziału „Błysk”. W Skroninie w domu pana Serwatki była olejarnia. Z reguły było tam zawsze sporo ludzi, którzy tłoczyli olej z rzepaku. Olej ten był wówczas jednym z podstawowych tłuszczów na wsi. Pamiętam dobrze jego smak, kiedy moczyło się w nim chleb, posypywało solą i jadło razem z surową cebulą. Otóż w mieszkaniu pana Serwatki tą czynnością zajmowała się żona, gdyż on był w oddziale AK. Gestapo i żandarmeria podejrzewały go, że jest w konspiracji, a upewnił ich w tym czyjś donos. Wczesnym rankiem otoczono wieś, ludność wyganiano z domów i po nazwiskach według posiadanej listy jednych ładowano na samochody, a drugich pędzono pod dom pana Serwatki i układano twarzą do ziemi. Znalazło się tu 17 osób, które wepchnięto do owej olejarni. Kiedy otoczono dom wojskiem, jeden z żołnierzy podłożył sнопek słomy i polał benzyną, a drugi podpalił. Obok stały samochody załadowane ludźmi, którzy wiedzieli, że tam palą się żywcem ich najbliżsi. Co się tam działo, trudno opisać. Kilku próbowało ucieczki, ale dosięgły ich kule. Tylko jednemu udało się wyrwać z tego piekła, ale w czasie ucieczki odstrzelono mu ucho. Piszę to z opowiadań naocznego świadka, mojego wujka, który też tam leżał, ale pozwolono mu odejść, kiedy się dowiedzieli, iż jest komentantem straży. My z mamą byliśmy tam w godzinę później, gdyż mama bardzo się obawiała o mieszkającą w Skroninie rodzinę. Ale biegnąc tam już przed wsią koło dworu byliśmy świadkami takiego zdarzenia. Otóż zaraz za dworem przebiegała linia kolejowa, za nią rzeka Drzewiczka i zarośla. Usłyszeliśmy strzały, więc zatrzymaliśmy się i patrzymy w tamtym kierunku. Obok toru, ścieżką uciekało dwóch mężczyzn, a za nimi biegło dwóch strzelających Niemców. Jeden z uciekających pada, a za chwilę drugi. Podeszli do nich Niemcy, popatrzyli czy się nie ruszają, kopnęli nogą i odeszli. Oczekaliśmy trochę, aż Niemcy znikną za zabudowaniami i postanowiliśmy zobaczyć kogo zabito. Jeden z nich był nieżywy, jeszcze sączyła się krew. Podeszliśmy do drugiego, którego mama rozpoznała. Był to 16-letni Janek Szymczyk. Mama lekko trąciła go nogą i cicho zapytała – „Janek, czy żyjesz? Nie bój się to ja, Marysia Dudowa.” Po trzecim chyba kolejnym pytaniu poruszył się i otworzył oczy. „Nic ci nie jest, nie jesteś gdzieś trafiony?” – pyta dalej mama. Leż spokojnie, jak ci powiemy wstawaj i uciekaj w kierunku Petrykóz, to tak masz zrobić.” Upewniwszy się, że nie grozi niebezpieczeństwo daliśmy mu sygnał do ucieczki. Dzisiaj już Janek nie żyje, ale kiedyś był to częsty temat do wspomnień.

Kiedy z mamą doszliśmy do miejsca tragedii, ludzie z pogorzelska wyciągali zwęglone szkielety. Jeden utkwił mi w pamięci, a właściwie dwa obejmujące się nawzajem. Była to żona i córka sołtysa pana Hajdy, którego z synem wywieziono tego dnia do obozu. Pamiętam też pogrzeb tych popalonych ludzi: trumien niesiono dużo mniej, bo na przykład śp. pani Serwatkowa z trójką małych dzieci zmieściła się do jednej. To było straszne i niezapomniane przeżycie. Ale i sprawiedliwości stało się zadość. Ustalono z całą pewnością kto doniósł i podał Niemcom nazwiska i sprzedawczyk został rozstrzelany na zgłiszczach, gdzie spalono żywcem niewinnych ludzi.

Powoli kończyły się wakacje. Ostatnie dwa tygodnie wykorzystywaliśmy na zbieranie leśnych malin i jeżyn, żeby mama zrobiła na zimę trochę soków. Oprócz tego trzeba było pomóc dziadkowi w przygotowaniu opału. U nas przeważnie opalało się drzewem. O węgiel było trudno i był drogi, a o ile sobie przypominam okupacyjne zimy były śnieżne i mroźne.

Jeśli chodzi o dalszą naukę, rodzice zdecydowali, że 6-tą klasę w roku szkolnym 1943/1944 będę kończył w Warszawie. I tak się stało. Mieszkałem u wujostwa na ul. Kordeckiego na Pradze, a szkoła mieściła się niedaleko, na placu Szembeka. I tak jak niegdyś, nadal woziłem różne papiery do stryja Julka do restauracji „Maxim” na placu Napoleona, albo na ul. Mochnackiego. Zastanawiało mnie to, że coraz rzadziej odwiedzał mnie tatuś. Raz chyba, już pod koniec sierpnia 1943 roku, zjawił się po południu i powiedział, że mam z nim jechać w pewne nowe miejsce. Jechaliśmy tramwajem, który nagle zatrzymał się na moście Poniatowskiego. Pytamy się o co chodzi. Okazało się, że to normalna łapanka – częsty widok na ulicach Warszawy. Zauważyłem podenerwowanie u ojca. Dał mi do

schowania za koszulę trzy koperty oświadczając, że o ile wszystko zakończy się dobrze mamy spotkać się u wujostwa, dokąd zaraz miałem wracać. Idąc na razie pieszo w kierunku Pragi, usłyszałem strzały, Obejrzałem się do tyłu, ale ani tramwaju ani też niemieckiej budy nie było. Wróciłem do domu zmartwiony, nie wiedząc jaki los spotkał ojca. Dopiero po kilku dniach zjawili się u wujostwa tatuś z mamusią opowiadając o swoim przeżyciu w tamtym dniu. Okazało się, że Niemcy strzelali wówczas do ojca i dwóch aresztowanych podczas łapanki na moście. Ucieczka się udała, ale po tym fakcie ojciec stwierdził, że pali mu się grunt pod nogami i wyjeżdża w opoczyńskie, bo właśnie tam działa jako dowódca oddziału dywersyjnego AK w obwodzie Końskie Powiedział też, że nadal będę woził różne dokumenty, ale już z Warszawy na wieś i dostarczał je do miejsc wskazanych przez mamę Po wysłuchaniu odważyłem się zapytać: skoro wiem tyle, to może mi tatuś powie, pod jakim pseudonimem działa, jako ten dowódca? Naprawdę me wiesz Jureczku, mama ci nie mówiła?” Na co odpowiedziałem, że nie. Wobec tego przyjmij do wiadomości, że „Cygana-Bogdan” to właśnie ja. Kiedy to usłyszałem, poczułem że rosnę i byłem z ojca dumny. Zaraz stawały mi przed oczami partyzanckie akcje dywersyjne o których ludzie mawiali: „To robota Cygana!”

Po owym pamiętnym spotkaniu z rodzicami w Warszawie nadal chodziłem tu do szkoły i regularnie co dwa – trzy tygodnie jechałem z papierami do Petrykóz, a stamtąd do miejsc podanych przez mamę Najczęściej jeździłem do Dyszowa pod Końskimi, do domku dróżnika kolejowego niedaleko przejazdu. A było to miejsce niebezpieczne, bo pod bokiem Niemców. Naprzeciw tego domku w odległości ok 500 metrów był początek wysokiego parkanu, okalającego obóz jeńców radzieckich a na samym rogu wysoka wieża wartownicza, z której nocą rozchodziły się smugi światła reflektorów wpadające w małe okienko naszego dróżnika. Jego syn, Antoni, był w oddziale mojego ojca jego prawą ręką Czasem chodziłem tam razem z mamą lub bratem Witoldem. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jak wielkie to było ryzyko. Przypominam sobie furmanki jadące obok szosą w kierunku Baryczy (Gowarczowa). Załadowane były gołymi trupami nieszczęśliwych jeńców rosyjskich, umierających podobno z głodu. Zakopywano ich w lesie we wspólnych dołach – obecnie w tym miejscu stoi pomnik – obelisk. A kontakt z panem Alojzym nadal był aktualny i zawsze owocny w wiadomości uzyskiwane od mego i odpowiednio wykorzystywane przez ojca lub inne oddziały AK. Rok 1943 powoli zbliżał się ku końcowi. Nadeszły ferie i święto Bożego Narodzenia. Wigilia odbyła się jak poprzednio u wujostwa w Skroninie. Tym razem ojciec nie uczestniczył, bojąc się jakiejś zasadzki. Miał swoją Wigilię z chłopcami we młynie w Małachowie k/Czarneckiej Góry, gdzie często stacjonował. Na tej Wigilii nastrój panował nie za wesoły, ponieważ terror niemiecki się nasilał i nikt nie był pewny dnia następnego. Rozweselał nas tylko wujek Antek, który po paru kieliszkach bimberku śpiewał swoją ulubioną piosenkę: „Szedł Jasiu do Kasi, muzyczka mu grała...”

Nasz staw został skuty lodem. Można było skorzystać z tego i pojeździć na sankach lub łyżwach. Nie było jednak gotowych, więc robiło się samemu. Sanki krótkie robiliśmy z desek, których płozy były okute drutem. Siadało się nań w kucki i odpychało dwoma kijkami zakończonymi u dołu gwoździemi. Podobnie robiło się łyżwy: wystrugiwało z drewna, dolną część okuwało drutem. Całość mocowano do buta sznurkiem lub czasem paskiem. A zdarzały się kąpiele w lodowatej wodzie, gdyż lód w niektórych miejscach był cieńszy. Cud, że nikt z nas się nie utopił, ale w domu było suszenie i lanie na kolanie.

Przyszedł rok 1944. Zaraz na początku w styczniu tragedia w rodzinie: zastrzelony został przez Niemców młodszy brat ojca – stryjek Stacho, który pracował jako stróż nocny przy młynie. Podobno był to nieszczęśliwy przypadek, ale mówiono po cichu, że maczał w tym ręce nowy kierownik młyna – folksdojcz. Dokuczał mamie i całej naszej rodzinie, a chłopci przyjeżdżający do młyna musieli mu się w pas kłaniać i zdejmować czapki. Którego tego nie zrobił dostawał laską (zamiast prawej nogi miał protezę). Doszło do tego, że sami młynarze zrobili zamach na niego, zrzucając z ostatniego piętra cegłę. Nie udało się, a sami mieli po tym sporo kłopotu. Kiedy raz partyzanci zabrali ze młyna mąkę i skórzane pasy, pobił stryjka, że źle pilnował. Dostał dwa listowne ostrzeżenia, żeby zmienił stosunek do ludzi. Wreszcie miarka się przebrała: został na nim wykonany wyrok, ale nie przez rozstrzelanie, bo szkoda było na takiego kuli – został utopiony. Dowiedziałem się o tym od mamy, kiedy przyjechałem na Wielkanoc.

W maju, czerwcu i lipcu 1944 roku akcje oddziałów AK bardzo się nasiliły. Doszło do tego, że Niemcy bali się pokazywać u nas i w okolicy. Nie będę wymieniał wszystkich potyczek i akcji dywersyjnych, bo to nie jest tematem wspomnień. W połowie czerwca zaczęły się wakacje. Rok szkolny poszedł mi dobrze – zdałem do 7-ej klasy. Oczywiście na wakacje przyjechałem wraz z cioteczną siostrą i bratem do Petrykóz.

Tymczasem ludzie coraz częściej mówią o zbliżającym się froncie od wschodu i o zakończeniu wojny. Coraz rzadziej widać na niebie niemieckie samoloty, a nocami słychać lecące wysoko eskadry ciężkich bombowców. Ludzie mówią: „niosą pigułki na Berlin i na Hitlera”. Wśród mieszkających tu Niemców widać było podenerwowanie. Również rychły koniec wojny zapowiadał mamie pan Alojz.

Któregoś lipcowego dnia wieczorem zjawił się tatuś oświadczając, że jutro wyjeżdża do Warszawy. Przyjedzie za dwa dni i mama ma na niego oczekiwać w Dyszowie, gdzie będzie wspólnie omówiona

ważna sprawa. Niedługo się przekonałem, że rzeczywiście podjęto tam niebezpieczną decyzję. Bo oto ojciec, będąc w dowództwie AK, dowiedział się o terminie wybuchu powstania i postanowił opanować gospodarstwo, a głównie młyn. Liczył, że Niemcy wpadną w panikę i większe siły skierują na stolicę. Ten moment chciał wykorzystać i być jak najbliżej swojej własności, żeby na wypadek ucieczki Niemcy nie chcieli coś zniszczyć lub zemścić się na najbliższych. Potwierdzał to pan Alojz, mówiąc o nie wesołych nastrojach i o tym, że oni podobno w najbliższych dniach mają być z Petrykóz ewakuowani.

I stało się. Dnia 24 lub 25 lipca 1944 ojciec przy pomocy oddziału rozprawia się z posterunkiem Wehrmachtu i cicho, bez żadnego wystrzału, zaskakuje prawie wszystkich podczas porannej gimnastyki. Zarządził, żeby o godz. 9-tej przyprowadzono ich we wskazane miejsce na podwórku, gdzie także mieli się stawić pracownicy gospodarstwa i młyna. Tymczasem mama ubrała nas i siebie odświętnie i oczekiwała na tatusia. Ku naszemu zdziwieniu tatuś zajechał wolantem przyprowadzonym poprzedniego dnia z Białaczowa i zaprzężonym w parę koni. Zabrano nam w 1940 roku – służył zarządcy majątków przejętych przez Niemców, mającemu siedzibę w pałacu Platerów w Białaczowie. Zdziwienie nasze było jeszcze większe, kiedy ujrzeliśmy ojca w jego oficerskim mundurze. Wsiedliśmy do wolantu i wjechaliśmy w środek zebranych pracowników i Niemców. Wszyscy wysiedliśmy. Ojciec wygłosił przemówienie, którego już nie pamiętam. Wynikało z niego, że zbliża się koniec wojny i że przejmuje we władanie młyn i gospodarstwo. Zwracając się łamaną niemczyzną do osłupiałych Niemców powiedział, że nic złego się im nie stanie, są traktowani jako jeńcy wojenni. Jeszcze dzisiaj opuszczają Petrykozy (oczywiście bez broni) i mogą jechać gdzie im się podoba. Pracownikom młyna i gospodarstwa oświadczył, że nikogo nie będzie zatrzymywał siłą i kto chce, a się nie boi, nadal może pracować. Pozostali mają wolną drogę. Wreszcie na zakończenie dodał: „Ten skrawek polskiej ziemi jest wolny! Pracujemy dla Polski, a nie Hitlera. Od dzisiaj ogłaszam tu jeszcze nie Rzeczpospolitą Polską, ale Rzeczpospolitą Petrykowską!”. Tych słów długo nie zapomnę.

Niemcy spakowali plecaki, po czym zostali odprowadzeni przez ojca i jego żołnierzy na stację i załadowani na pociąg jadący w kierunku Opoczna. Przed odjazdem serdecznie pożegnaliśmy się z panem Alojzem. Wszyscy rozeszli się do domów, a na drugi dzień nie zawiedli ojca i w pełnym składzie stawili się do pracy. Dwa dni potem przyjechały z Tomaszowa samochody po mąkę. Odjechały puste, a co im ojciec powiedział tego nie wiem. Pod wieczór zaś zrobił ojciec z oddziałem zasadzkę na niemiecki pociąg jadący z Opoczna. Zatrzymał się on pod semaforem, a kiedy zaczęła się strzelanina, maszyniści niemieccy zdążyli wycofać pociąg do tyłu. I tak skończył się lipiec, a zaczynał sierpień – jak się niebawem okazało dla nas bardzo tragiczny.

Jeszcze w lipcu przeprowadził ojciec swoją zwycięską potyczkę z okupantem. A było to tak. Dnia 30 lipca 1944 roku w niedzielę około godz. 5-jej obudziła nas strzelanina dochodząca od stacji kolejowej. Czasami dało się odczuć dziwne uderzenia w zachodnią stronę ściany. Okazało się, że to uderzały kulki. Wskoczyliśmy z mamą z łóżek i podeszliśmy do okna balkonowego (zajmowaliśmy już także część piętra), z którego mieliśmy dobry widok na tory kolejowe oraz stację. Stał tam pociąg osobowy. W wagonach pootwierane drzwi, z których wyskakiwali ludzie kładąc się zaraz na ziemi. Ponieważ strzelanina się wzmagala, mama kazała się szybko ubrać, biec do młyna i zawiadomić tatę. Nie mogli oni słyszeć strzałów, gdyż młyn był nieco niżej położony, a poza tym pracujące maszyny zagłuszały odgłosy. Kiedy zdałem relację, ojciec z żołnierzami chwycili za broń i pobiegli w kierunku stacji. Ja oczywiście za nimi. Okazało się, że zasadzkę na pociąg przeprowadził oddział „Henryka”, który jednak nie spodziewał się tak wielkiej siły nieprzyjaciela. Jeden z jego żołnierzy został już zabity i nie wiadomo jaki byłby koniec tej walki, gdyby nie pomoc ojca. Niemcy widząc beznadziejność sytuacji poddali się. Zginęło 17-tu hitlerowców, a kilku było rannych. Po stronie polskiej był jeden zabity. Do niewoli dostało się 15-tu Niemców. Zdobyto dużo broni i amunicji. Kiedy pokazałem się na peronie tatuś posłał mnie do naszego furmana pana Kowalczyka, aby przyjechał wozem z parą koni. Załadowano nań zdobyczną broń, rannych i wraz z jeńcami wszyscy udali się do lasu na Małachów. Na polecenie ojca, w obawie przed odwetem, mama z nami i wszyscy pracownicy udaliśmy się w umówione miejsce za łąki i staw na Felicjanów. Pod wieczór przyszedł po nas jeden z żołnierzy i powiedział, aby wracać do domu. Po tym co zaszło Niemcy nie pokazywali się w tych okolicach i życie na wsi toczyło się w spokoju. Tym bardziej, że 1-go sierpnia wybuchło w Warszawie powstanie. Ojciec z tej okazji wywiesił na dachu młyna flagę państwową. W niedzielę 6-go sierpnia ludzie ze Skroniny szli do Petrykóz do kościoła. Kiedy zauważyli powiewającą na młynie flagę łapali się za głowy, mówiąc między sobą: „co też ten porucznik Duda wyrabia, czy to może koniec wojny?”. Wiecznie podszyty strachem zawiadowca stacji kiedyś zagadnął do ojca: „Panie Bronisławie, na litość Boga, przecież dookoła są Niemcy, czy to nie za wcześnie?” A tatuś mu na to: „Panie Józefie, niech Pan przyłoży ucho do ziemi, wolność tuż, tuż. Warszawa walczy, Niemcy wpadają w panikę. Ich noga już więcej tutaj się nie pokaże”. Ojciec był pewien wytkniętej przez siebie drogi. Wiele nadziei wiązał z ostatnimi wydarzeniami, ciesząc się ogromnie bliską wolnością, kończącą jego leśną tułaczkę. Ale niestety, ta pewność siebie, nie brane pod uwagę ostrzeżenia, a może przeznaczenie, na koniec go zawiodły i okazały się tragiczne w skutkach...

Oto nagle 11 sierpnia 1944 roku o godz. 4-5 rano obudziło nas walenie i dobijanie się do drzwi. Rozległy się strzały. Wokół domu i na podwórzu było pełno Niemców. Od Opoczna i Końskich z pociągów wysiadały wojska niemieckie i podwójny pierścień zacisnął się dookoła naszej posiadłości. Od Białaczkowa przyjechały samochody z żandarmerią, a za chwilę nadleciał samolot, krążąc nad nami i kontrolując sytuację. Niemcy spodziewali się większego oporu ze strony ojca, który jednak wieczorem poprzedniego dnia wszystkich swoich żołnierzy zwolnił na dwa dni, aby odwiedzić rodziny. Został więc sam. Wszystkich nas z mamą, dziadkami i służbą ustawiono pod ścianą domu, a naprzeciwko karabin maszynowy. Na ten widok zrobił się wielki płacz i lament. Czekala nas egzekucja. Ale za chwilę nadbiegł oficer i przepędzono nas na rampę koło młyna. Przy północnej ścianie stało 100 zakładników ze wsi. Teraz wyszedł przed nas jeden żandarm i przy pomocy tłumacza oświadczył, że jeśli nie znajda „banditen Duda”, a także jeżeli ze strony partyzantów padnie strzał wszyscy tu zatrzymani zostaną zabici. Nasza mamusia była bardzo wylekniiona. „Stale płacząc mówiła, że Niemcy na pewno ją zabiją, bo wiedzą, że jest żoną bandyty i że 30-go lipca strzelała z balkonu do ich pociągu. Namawiała nas, by próbować ucieczki. Po dobrej godzinie wyprowadzono ze młyna naszego ojca. Widok był okropny: ledwo stał, powiązany grubą konopną liną, cały ociekający krwią. Obok niego dwóch gestapowców z pejszami i rękawami podwiniętymi po łokcie. Ojciec rzucił na nas żalosne spojrzenie, jakby proszące o wybaczenie. Na ten widok babcia z rozpacz zaczęła wyrwać z głowy włosy, próbując podbiec do syna, ale ją brutalnie odepchnięto. Po kilku minutach poprowadzili ojca na tej linii do Skroniny, gdzie miał rzekomo pokazać skład broni i amunicji. Prawdopodobnie miał nadzieję, że w drodze zostanie odbity, do czego nie mogło dojść ze względu na groźbę rozstrzelania wszystkich spędzonych przy młynie. Więcej ojca nie widzieliśmy. To było nasze ostatnie widzenie i zarazem jakże smutne pożegnanie. Przed młynem robiło się coraz ciasniej, bo Niemcy przyprawiali przygodnych pasażerów z zatrzymanych pociągów, potrzebnych do pakowania w worki mąki, otrąb i zboża, a następnie ładowania ich na samochody. Dużą liczbę ludzi zatrudniono przy wyrzucaniu ze stodoły i innych pomieszczeń siana i słomy w poszukiwaniu broni. Widząc to mama pomyślała zapewne, że może między nimi uda nam się jakoś oddalić. Przeżywała wewnętrzną rozterkę. Wreszcie zdjęła z siebie złoty łańcuszek, pierścionek, obrączkę i dała to mnie jako najstarszemu. Cała zalana łzami mocno nas ścisnęła i całowała. Błogosławiąc ręką kazała odejść i próbować ucieczki. A siedzących obok znajomych prosiła o opiekę nad nami, gdyby do nas nie wróciła. Ucieczka nam się udała. W ostatnim jej etapie dopomógł nam... pan Alojz, biorący udział w tej akcji. Chyba gorące modły i prośby mamy zostały wysłuchane. Niestety następnego dnia wieczorem na wsi, gdzie nas ukryto, dowiedzieliśmy się, iż w godzinę po naszej ucieczce dwóch gestapowców poprowadziło mamę za groblę w olszyny i tam ją zastrzeliło. Nasza ukochana mamusia! Co ona biedna myślała w tej ostatniej drodze. Kiedy Niemcy po dokonaniu mordu zorientowali się, że nas nie ma, rozpoczęli natychmiastowe poszukiwania. Przetrzęsali wieś i okolice przez trzy dni. Ale my byliśmy ulokowani w bezpiecznych miejscach i każdy oddzielnie. Natomiast ojca Niemcy pod wieczór zabrali do Tomaszowa Mazowieckiego na tzw. Zapiecek. Tam był przesłuchiwany i okropnie maltretowany (wiem od ludzi, którzy siedzieli w jednej celi). Ponieważ nic nie mogli się dowiedzieć, w dniu 11 września 1944 roku został rozstrzelany w grupie 77-miu osób. Ja spotkałem się z braćmi w grudniu. Razem z dziadkami zamieszkaliśmy u stryjenki (wdowy po stryju Stachu) w Petrykozach. Tu właśnie dowiedzieliśmy się o śmierci naszego ojca – por. „Cygana-Bogdana”.

Święta Bożego Narodzenia były więc bardzo smutne i me za tłuste. Aż do wyzwolenia codziennie ziemniaki, barszcz i olej rzepakowy. Całe szczęście, że bardzo lubiliśmy cebulę i to pod olej nam pasowało. W dzień chodziliśmy z dziadkiem do lasu po drzewo, żeby było czym palić w piecu. Za ciepło nie było, gdyż panowała sroga zima. W dodatku zapanowała przykra choroba – świerzb. Całe ciało swędziało i drapało się aż do krwi. Codziennie było mycie w balii, smarowanie ostrą maścią siarkową, po której bardzo szczypało. Jeśli zaś chodzi o naukę, to – ze względu na to, co nas spotkało – od września 1944 do wyzwolenia do szkoły nie uczęszczałszy.

Z początkiem stycznia 1945 roku całe tabory niemieckich samochodów, motocykli, czołgów, wozów konnych itp. przewalały się ze wschodu na zachód. Uciekali przed Rosjanami, których bardzo się bali. Na drodze mieli most przez rzekę Drzewiczkę, ale ten nie wytrzymał ciężaru, więc przechodzili i przejeżdżali przez zamrożoną rzekę. Dużo sprzętu i żołnierzy zostało tam na zawsze. Wreszcie zapanował taki bałagan, że na odcinku 12 kilometrów od Gowarczowa i Końskich do Białaczkowa i Opoczna wszystkie możliwe drogi zostały zablokowane. Ani do przodu, ani do tyłu – okropny korek. Trzeba było widzieć wystraszone twarze oficerów i żołnierzy, jeszcze niedawnych władców świata mordujących niewinnych ludzi! I w takiej to sytuacji dopadły Niemców i „Własowców” wojska radzieckie. Nasza wieś dwukrotnie przechodziła z rąk do rąk, dopiero trzeci atak zadał Niemcom ostateczny cios. Prawie wszystkie domy płonęły, ludzie siedzieli w piwnicach, a także w kościele. Okropne walki, srogi mróz i straszne sceny. U boku hitlerowców walczyli własowcy, którzy zdradzili Stalina. Na tych Rosjanie mścili się potwornie. Dla nich nie było „pomiluj”, a ci którzy nie zginęli od kuli, byli rozpruwani bagnietami lub układani na drodze i rozjeżdżani czołgami. Widok rozjechanych ciał własowców był



przeróżający. To wszystko stoi człowiekowi do dziś przed oczyma. W ten sposób przysła do nas wolność – a było to rankiem 16 stycznia 1945 roku. Wolność dla mnie i dla wielu drogo opłacona!

Po wyzwoleniu w lutym 1945 roku wyjechałem do Łodzi. Miałem szczęście, bo trafiłem do dobrych ludzi, którzy się mną zaopiekowali i przygarnęli jak swojego syna. To znajomi rodziców z przedwojennej Warszawy. Po upadku powstania i wysiedleniu przyjechali do Petrykóz z myślą, że zatrzymają się u rodziców i tu doczekają końca wojny. Stało się inaczej, więc zamieszkali u innych. Po Wyzwoleniu nie mieli po co wracać do stolicy. Wybrali Łódź. Mnie zabrali ze sobą. Będę im za to wdzięczny do końca życia. W roku 1950 ukończyłem I Państwowe Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika. Miałem studiować, ale na prośbę babci wróciłem na ojcowiznę. A to dlatego, że nasz stryj Julian – sądowy opiekun – dbał tylko o swoją kieszeń. W lipcu 1950 roku przejąłem więc młyn i gospodarstwo, nie mając o tym pojęcia. Ale z pomocą dziadków i byłych pracowników szło mi coraz lepiej. Miałem przecież do wychowania młodszych braci. Te czasy wspominam bardzo przykro. Okazałem się teraz kułakiem i wrogiem PRL. Kilka razy siedziałem w więzieniu za nie dotrzymanie terminu obowiązkowych dostaw żywności, zboża i mleka. Mieszkanie było puste, gdyż wszystko zabrał komornik za podatki i wysokie domiary.

W 1952 roku powołano mnie do wojska. Do jakiej formacji mogłem być skierowany, skoro byłem w jednej osobie synem przedwojennego oficera, późniejszego dowódcy oddziału AK i w dodatku stałem się kułakiem i wyzyskiwaczem? Wiadomo, że służbę odbyłem za to w kopalni węgla kamiennego. Ale dane mi było przeżyć i wrócić, choć sporo kolegów zginęło w wypadkach pod ziemią. A wracać nie było do czego. W międzyczasie w 1953 roku upaństwowiono nam młyn i dodatkowo połowę budynku mieszkalnego. Zupełnie bezprawie za mieszkanie musieliśmy płacić. W roku 1955 młyn uległ spaleniowi z wyłącznej winy kierownika, nie mającego pojęcia o jego prowadzeniu. Najgorsze, że początkowo byłem podejrzany o jego podpalenie. Na marginesie: dyrektorem upaństwowionej cegielni hr. Platera zostaje człowiek (partyjny), który kiedyś był u nas pastuchem.

W 1955 roku założyłem rodzinę, ale długo nie mogłem dostać pracy. Otrzymałem ją dzięki mojemu teściowi, zasłużonemu „Hubalczykowi”, byłemu więźniowi kilku obozów koncentracyjnych. Dopiero w 1969 roku mogłem kontynuować studia wyższe, czego tak pragnąłem. Dopiąłem swego celu i w 1974 roku uzyskałem dyplom inżyniera na AGH w Krakowie. Nie przyszło mi to lekko, gdyż pracowałem zawodowo i prowadziłem gospodarstwo owczarskie.

W maju 1945 roku, kiedy byłem już w Łodzi, odbyła się ekshumacja rozstrzelanych w Tomaszowie Mazowieckim ludzi, w tym i mojego ojca. Jego ciało zostało złożone w grobie obok mamy i stryja Stacha, na cmentarzu parafialnym w Petrykozach. A pogrzeb odbył się z honorami wojskowymi przy udziale byłych partyzantów.